TYGODNIK LWOWSKI

Rok II. **Nr. 6.** 8. Lutego. **1868.**

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“	
rocznie	8 złr. — ct.
półrocznie	4 „ — „
ćwierćrocznie	2 „ —
Pojedynczy numer	— „ 20 „

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową	
rocznie	8 złr. 50 ct
półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ 20 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.



Zamek w Olesku.

Do najpoetyczniejszych stron dawnej Polski, należały niezaprzeczenie wschodnie okolice województwa ruskiego, rozciągające się szerokim pasem od Zamościa w ziemi chełmskiej aż do brzegów Dniestru w ziemi halickiej. Najpiękniejsza ta część Polski była oraz krajem ciągłej prawie burzy wojennej, ciągłych najazdów tatarskich i tureckich, — Najpierw przygnębiło ją samo jarzmo mongolskie wtłoczone na nią w stuleciu Dżengischana — później Osmanowie zdobywcy Konstantynopola, rozpostarłszy zabory swoje wzdłuż północnych wybrzeży morza Czarnego, wspólnie z ordą tatarów krymskich nie przestawali zagrażać najazdami południowo - wschodniej granicy Polski. — Rokrocznie powtarzanemi napady utorowała sobie orda trzy znane drogi czyli szlaki tatarskie. Najpólnocniejszy z tych szlaków. tak zwany czarny, wdzierał się w Ruś Czerwoną z Wołynia i przerzynał się od Sokala ku Żółkwi, zmierzając wraz z obudwoma innemi do wspólnego wszystkich celu, do ruskiej stolicy Lwowa. — Na dzisiejszy Grzymałów biegł województwem ruskiem z Podola szlak średni czyli kuczmieński, i dążył ku Lwowu na Zborów, Złoczów, Sasów, Olesko, poczytywane za osady szlakowe.

Przedmiotem niniejszego opisu nie jest tyle miasto Olesko, którego opisy już tylekrotnie w czasopismach polskich pojawiały się, ile zamek Oleski, dawniej obronny a dziś po większej części spustoszały, dawniej siedziba wielkich historycznych imion — a dziś fortuna ubogiej i nieznanej rodziny szlacheckiej, dawniej strażnica na szlaku

zagonów tatarskich — a dziś schronienie sów i puszczyków. - Zamek Oleski wraz z częścią Rusi odziedziczył w r. 1327 Bolesław Trojdanowicz, książe mazowiecki. Na mocy zawartego w r. 1366 traktatu z książętami litewskimi gród Oleski został przyznany koronie, później bo w r. 1570 nadał go król Ludwik siostrzeńcowi swemu Władysławowi, książęciu opolskiemu; — po nim zaś zajęła zamek załoga węgierska. Po skonie Ludwika w r. 1382 starostowie węgierscy sprzedali zamek księciu Lubartowi, odkąd Olesko zostało w posiadaniu Litwinów aż do r. 1432, w którym to roku Kazimierz zdobył to miejsce bardzo warowne po długiem oblężeniu. W r. 1441 Władysław król polski i węgierski, zamek Oleski z miastem i całym districtem czyli powiatem nadał Janowi z Sienna za zasługi, jakie tenże położył w obronie ziem ruskich przeciw Tatarom.

Jeszcze w XIV. wieku był ten starożytny zamek w posiadaniu owej możnej rodziny z Sienna, która od kilku pokoleń posiadała tak rozległe dobra na Rusi; — pod jej to ręką otrzymał on w znacznej części swoją postać warowną w tym kształcie, jakiej ślady spotykamy do dzisiaj — a która tak odpowiadała charakterowi całej krainy. — Wznosząc się bowiem u szczytu samotnej góry, otoczonej szeroką a niegdyś błotną niziną, zdawał się zamek Oleski tylko najogromniejszą z owych strażnic mogilnych przeciw Tatarstwu, jakich tyle sypano wszędy po błoniach ruskich. — Od Sienieńskich przeszło Olesko do Daniłowiczów, prawie w tym samym czasie, kiedy późniejsza Żółkiewszczyzna przeniosła się do Żółkiewskich a Złoczów do Sobieskich — tak utrzymuje Szajnocha — inni zaś podają, że Olesko było w posiadaniu Żółkiewskich i przeszło od nich do Daniłowiczów — a od tych ostatnich do Sobieskich — dość że w r. 1605 zamek Oleski zamieszkiwał Jan Daniłowicz, potomek jednego z najstarożytniejszych rodów Rusi Czerwonej, który się miał za książęcych plemienników dawnego króla Daniela czyli Daniły. Na zamku to Oleskim w służbie wojewody chlebem Daniłowiczów wytuczony przebywał szlachcic polski, przybłęda — który ożeniony z córką Teodora z słowiańska Bohdana, wychował największego wroga podwójnej swojej ojczyzny Polski i Rusi. — Szlachcic ten nazywał się Chmielnicki — ojciec Bohdana. — Imię to dość krwawemi głoskami wyryło się na kartach historji Rusi i Polski — ażebyśmy go pominąć mieli z okoliczności historycznej wzmianki o Olesku.

W przeciwieństwie do powyższego bolesnego wspomnienia stoi inne świetne wspomnienie imienia bohatera chrześcijaństwa i chluby Polski — w zamku bowiem Oleskim w dniu 2. Czerwca 1629 r.. Teofila, córka Jana Daniłowicza wojewody ruskiego, a żona Jakuba Sobieskiego powiła syna, któremu nadano na chrzcie świętym imię Jan. — Dziecię to miało w lat kilkadziesiąt później pomścić na barbarzyńcach śmierć dziada, wuja i brata swego, a szczytnie panując narodowi naszemu stanąć w rzędzie królów polskich — których wdzięczna pamięć przejdzie w dalekie pokolenia. Opowiadają sobie w Olesku po dziś dzień o wypadku, jaki się zdarzył przy narodzeniu Jana Sobieskiego; — gdy po urodzeniu obmyto i położono dziecię na stole marmurowym, stół ten pękł, przesądni poczęli wyciągać ztąd dla nowonarodzonego zły prognostyk — ksiądz zaś Simiaszko, przybyły dla dopełnienia chrztu świętego, tłumaczył rzeczony wypadek w ten sposób, że narodzone dziecię stanie się wielkim rycerzem krzyża i dokona czynów, które go stawią w rzędzie najpierwszych obrońców chrześcijaństwa — atoli jednak nie uchronią ojczyzny od wielkich nieszczęść i upadku. Stół ten znajdować się ma obecnie w zamku Podhoreckim.

Zamek Oleski po kądzieli przeszedł w ręce Rzewuskich i jako ich własność przed kilkudziesięciu laty sprzedany został w drodze publicznej licytacji za długi. — Już więc nie tytułem spadku rodzinnego ani wiana, ale tytułem kupna przeszedł w ostatnich czasach zamek Oleski w ręce niejakiego Zielińskiego, podkomorzego — zapewne z rzędu tych mnogich dygnitarzy, co to za panowania smutnej pamięci Stanisława Augusta wzrastali jak grzyby po deszczu w dostojeństwa i bogactwa – tworząc nowe historyczne imiona świeżej daty — o nieznanych lub nader boleśnie znanych czynach. — Zamek ten jest obecnie w posiadaniu córki owego podkomorzego a lubo jak wyżej powiedzieliśmy w części opustoszały jest, jednak zamieszkały mi zakonserwowało się w nim dosyć jeszcze pięknych pamiątek — które jak prędko za pośrednictwem fotografji zdjęte zostaną, nie omieszkamy celniejszych z nich umieścić w naszem pismie.

Oprócz tych wspomnień, w rękopisie króla Jana III znajdujemy wzmiankę, że Olesko miało być również miejscem urodzenia króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

C. G.

Generał Władysław Zamoyski.

(Dokończenie.)

W czasie pobytu w Turcji okazały się stosunki Zamoyskiego z wysokiemi dostojnikami o tyle pożytecznemi dla emigracji w ogóle, że Fuad Basza zaręczył mu, iż Turcja nie wyda emigrantów Moskwie ani Austrji i rzeczywiście tego dotrzymał. Oprócz tego wyjednał Zamoyski nie jednemu z emigrantów przyjęcie do służby tureckiej, a niektórym wysokie godności jak Kościelskiemu (późniejszemu Seferowi Baszy). Nikomu wszakże nie udzielał Zamoyski protekcji swojej bezwarunkowo, ale żądał zawsze zupełnego poddania się jego kierunkowi politycznemu. Ztąd też pochodziło, że otoczony bywał samemi ludźmi bardzo miernych zdolności i wątpliwego charakteru, a nie jeden co z nim zostawał w dobrych stosunkach musiał takowe zrywać, skoro tylko objawił polityczne usposobienie, skłaniające się ku demokracji. Zwolennicy Zamoyskiego mieli go za wielkiego polityka, tymczasem była to taka sama polityka jak Metternicha o którym Napoleon powiedział: że w braku rozumu politycznego uważa intrygę za szczyt polityki.

Opuściwszy Turcją oddał Zamoyski kierunek spraw tamtejszej emigracji Kościelskiemu, którego wtedy mianowano majorem.

We Francji starał się Zamoyski podobne wpływy na emigracją wywierać, jakie miał w Turcji. Jednak tu szła rzecz cokolwiek trudniej. Emigracja nie stanowiła tak jednolitego ciała we Francji jakiem była w Węgrzech i Turcji składając legjon polski, a jak legjon polsko-węgierski nie bardzo był przyjaźnie usposobiony dla Zamoyskiego i niejako z konieczności ulegał jego wpływom, tak emigracja rozsypana po Francji, wymykała się prawie zupełnie z pod tych wpływów. Zamoyski starał się o to, aby całą młodą emigrację wyprawić do Ameryki i tam osiedlić. Dążenie to Zamoyskiego ściągnęło mu wielorakie podejrzenia i zarzuty między emigracją. Jedni posądzali go o porozumienie z rządem francuzkim względem usunięcia emigracji z Francji, jako niedogodnego rządowi żywiołu, drudzy o chęć zagarnięcia emigracji pod sztandar stronnictwa Czartoryskich, aby z niej w razie potrzeby mieć powolne narzędzie i przenieść ją w chwili stanowczej do Europy. Ani jednego ani drugiego z tych podejrzeń nie sprawdziła rzeczywistość. Co do pierwszego zwłaszcza należy nawet stanąć w obronie Zamoyskiego. Nie był on nigdy służalczym pomocnikiem rządów obcych, chociaż umiał z niemi zachowywać dobre stosunki. Z tych dobrych stosunków korzystał Zamoyski zawsze dla sprawy polskiej, o ile to się uczynić dało. Powodem do tego podejrzenia było to, że francuzka policja uważała Zamoyskiego za głowę nowej emigracji a p. Lefranc (komisarz policji dla spraw emigracji polskiej) nie wydawał żadnemu z emigrantów paszportu bez wiedzy Zamoyskiego. Kto z emigracji tylko żądał u p. Lefranc paszportu, bywał przez tego zawsze odsełany do Zamoyskiego, i wtedy dopiero otrzymywał paszport, gdy się wykazał kartką od Zamoyskiego.

Bliższym prawdy zdaje się być drugi zarzut, jakoby Zamoyski chciał przysposobić z emigracji zastęp, któryby w razie potrzeby mógł być użytym w celach stronnictwa Czartoryskich. Jestto bowiem rzeczą pewną, że Zamoyski udzielał protekcji swojej tylko pod pewnymi warunkami i żądał nawet od niektórych, zwłaszcza wyższych oficerów pisemnego oświadczenia i zupełnego poddania się jego politycznemu kierunkowi. Znajdowało się wielu takich, którzy nie chcieli przystać na to zrzeczenie się swego niezależnego zdania, wskutek tego nie mieli najzdolniejsi ludzie w emigracji poparcia ze

strony Zamoyskiego, mianowicie wszyscy co należeli do stronnictwa demokratycznego. Stronnictwo to, chociaż nie było tak systematycznie uorganizowane jak niegdyś demokracja starej emigracji (która stanowiła Towarzystwo demokratyczne pod kierunkiem centralizacji), przedstawiało zawsze jedną łączną całość w pewnych ważnych kwestjach. Tak była cała demokracja zgodną w swej nieprzyjaźni przeciwko Zamoyskim i dawała mu różne niepochlebne przydomki. Przeciwnie Zamoyski nie lubił demokracji, nazywał należących do tego stronnictwa anarchistami i t. p. Przyznać wszakże należy to Zamoyskiemu, że nikt mu zarzucić nie może, jakoby prześladował swoich politycznych nieprzyjaciół. lub w ogóle, żeby im jakimkolwiek bądź sposobem szkodził: chociaż mając rozległe wpływy w najpierwszych gabinetach europejskich, nie tylko w tureckim, francuzkim i angielskim, ale i włoskim a nawet austrjackim — tylko w moskiewskim i pruskim nie miał takowych — mógł był pojedyńczym osobom równie, jak ogółowi wiele szkodzić. Ujemna to pochwała, ale i taką okoliczność godzi się podnieść u człowieka, którego ambicja i stanowisko jakie zajmował, mogły uwieść łatwo do przeciwnego temu działaniu, jak już nie jednego uwiodły.

Zamieszki wschodnie i wybuch wojny krymskiej, otworzyły Zamoyskiemu na nowo pole do działania skuteczniejszego i rozleglejszego niż dotąd mógł rozwinąć. Polacy pomyśleli o tworzeniu legjonów. Wiecznie ta sama myśl, wiecznie te same usiłowania, wiecznie te same zawody.

Stanęli tu znowu na przeciw siebie jako przeciwnicy polityczni, Zamoyski i Wysocki. Tamten był przedstawicielem czartoryszczyzny, ten demokracji — ale Zamoyski był bardziej energicznym, miał więcej wpływów i silniejsze poparcie. Demokracja niechciała aby Zamoyski miał jakikolwiek wpływ na formowanie korpusu, bo była przekonana, że korpus taki nie będzie polskim — ale z polskich żołnierzy złożony a w obcej służbie zostający. upatrywała ona w tem udaremnienie celów narodowych, do których należy, aby choć raz przyjść do posiadania jakiejkolwiek własnej organizacji; w tym razie chodziło o wojskową organizację. Wysocki był wyznawcą tej myśli i dla tego był stanowczo przeciwnym temu, aby legjon polski był uważany za część składową armji tureckiej, lub jakiejkolwiek innej.

Przeciwnie, Zamoyski uważał za rzecz praktyczniejszą oprzeć się o jaką z istniejących potęg politycznych, któraby przychylną była utworzeniu legjonu polskiego i wcielić ten legjon do armji tureckiej, gdyż widział iż tym sposobem przyjść można prędzej i pewniej do utrzymania tej tak pożądanej dla Polaków broni. Utworzenie osobnego samoistnego legjonu polskiego zdawało się dla europejskiej dyplomacji rzeczą niepolityczną, gdyż wypowiadałoby to dążność wskrzeszenia Polski — o czem dyplomacja europejska nie myślała i myśleć nie chciała. Jakkolwiek byłoby to nader skuteczną bronią przeprzeciwko Moskwie, czemu nikt rozsądny zaprzeczyć nie mógł, jednak zwracano uwagę Polaków na to, że w skutek takiej polityki popchniętoby Austrję i Prusy na stronę Moskwy i mianoby zamiast z jednem z trzema mocarstwami do walczenia. Tak rozumowała dyplomacja europejska a z nią Zamoyski. Tymczasem demokratyczne i przyjaźne polskiej sprawie stronnictwo opierało się głównie na tem, że zaprzątnienie Prus, Austrji i Moskwy dwiema naraz sprawami: polską i wschodnią byłoby najskuteczniejszym środkiem osłabienia Moskwy; bo ani Prusy ani Austrja nie mogłyby w takim razie Moskwy popierać, choćby nawet ową tak zwaną zbrojną neutralnością, która stała się dla Austrji początkiem ruiny, lub spokojnem wyczekiwaniem, które Prusy zachowywały z równą dla siebie jak i dla Moskwy korzyścią.

Ale mocarstwom głównym europejskim nie chodziło o zwalczenie i osłabienie Moskwy, tylko o poskromienie jej zachcianek na wschodzie. Dlatego niechętnie zezwalano na formację legjonów polskich, a już wcale nie chciano przyzwolić na samoistne tychże stanowisko. Z mocarstw biorących udział w wojnie krymskiej, były najprzychylniejsze tworzeniu polskich legjonów: Turcja i Anglja, ale każde z nich w swoim interesie — a nie w interesie Polski. Demokracja uważała za rzecz polityczną postawić interes Polski na równej szali z interesami mocarstw wojujących, i gdyby generał Wysocki był mężem równie energicznym jak był dobrym patrjotą i wojskowym, gdyby był równie wpływowym i dyplomatą, jakim był Zamoyski, byłoby się może udało wprowadzić pod jakąkolwiekbądź postacią Polskę w grę potęg europejskich w czasie wojny krymskiej. Ponieważ jednak Zamoyski miał pod każdym ze względów tu wspomnionych przewagę nad Wysockim, więc sprawa legjonów poszła tym torem, jaki Zamoyski uznał za najlepszy i najpraktyczniejszy. Ale Zamoyski był tylko dobrym żołnierzem i zręcznym dyplomatą — nie był on bynajmniej głębokim politykiem. Umiał on wyzyskać interes mocarstw wojujących dla chwili bieżącej, ale nie umiał zrównoważyć interesu Polski z tamtych interesem. —

Czy Zamoyski nie rozumiał, czy też wzdrygał się myśli podniesionej przez demokrację polską, ażeby w krymskiej wojnie podnieść kwestję polską i zniewolić mocarstwa do uznania Polski jako potęgi przez użycie legjonów polskich pod tytułem osobnej narodowej armji? — tego rozwiązywać nie chcemy. Być może, że sama nawet demokracja nie pojmowała dosyć jasno tej myśli, w każdym razie jednak demokracja przeczuwała wielkie znaczenie, jakie miała dla Polski formacja samoistnego polskiego legjonu. Ponieważ jednakże, ile nam wiadomo, nikt tej myśli wtenczas nie wypowiedział wyraźnie: więc walka o to, czy legjon polski ma być samoistnym, czy też wcielonym do armji tureckiej, przybrała postać walki dwóch stronnictw o kierownictwo nad legjonem. Zamoyski chwycił się myśli, która łatwiejsze uznanie znalazła u mocarstw: uważanie legjonu polskiego za część armji tureckiej, wyjednał pod tym warunkiem pieniężną pomoc Anglji, która prawie cały legjon swoim kosztem postawiła i otrzymał w swe ręce kierunek całego legjonu.

Jak przedtem we Francji tak i tutaj udzielał Zamoyski protekcji swojej tylko tym, którzy wyraźnemi pisemnemi oświadczeniami zrzekali się niezależności zdań swoich politycznych, różniących się od przekonań Zamoyskiego.

Jego protekcji zawdzięczali w krymskiej wojnie Breański i Bystrzanowski godność Baszów, jemu Zygmunt Jordan winien był bardzo korzystne umieszczenie i mnóstwo innych, którzy ofiarą swoich przekonań pozyskali protekcję Zamoyskiego. Umieszczał on swoich popleczników po wszystkich korpusach i sztabach, gdzie tylo chciał mieć wpływ. Sam formował piechotę i jazdę. Jednym korpusem komenderował A. Poniński, niegdyś odznaczony oficer w kampanji węgierskiej, a obecnie generał w armji włoskiej; drugim korpusem dowodził pułkownik Kamiński, znany w powstaniu i emigracji ze swojej dzielności. Legjon polski nie brał udziału w wojnie. Było to na pozór skutkiem powolnej formacji i rozlicznych innych przeszkód, jakoby napotykanych ustrony władz tureckich albo samych ochotników werbujących się do korpusu, ale wedle bardzo wiarogodnych wiadomości było calą przyczyną niewyprowadzenia legjonu polskiego na pole walki to, że austrjacki gabinet był przeciwnym formowaniu legionu polskiego. Ponieważ zaś Zamoyski był dobrze widzianym w gabinecie austrjackim, konferował swobodnie z austrjackim generałem Gablenzem a nawet jeździł *incognito* do Wiednia — podczas gdy n. p. generała Thüra uwięziono natychmiast, jak się tylko pokazał na austrjackiej stronie — więc padało na Zamoyskiego podejrzenie, jakoby on umyślnie zwlekał formację legjonu polskiego i wyprowadzenie go w pole, a to w skutek porozumienia z dworami mocarstw wojujących i neutralnych. Podejrzenie to znalazło tak wiele wiary między emigracyą i w samymże legjonie, że Zamoyski był z tego powodu wystawiony na rozliczne przykrości i bunty koszarowe a nawet osobiste obelgi. Umiał on jednak powagą wojskową, którą miał jako dobry żołnierz, bunty poskramiać, a obelgi zbywać puszczaniem ich mimo uwagi i pogardliwem milczeniem.

Po skończeniu krymskiej wojny została wielka część legjonu polskiego i oficerów tegoż w służbie tureckiej — inni woleli pójść do Francji lub do innych krajów. Zamoyski powrócił także jako generał do Paryża, i pozostawał na przemian to tam to w Londynie.

Pomimo gorliwego krzątania się około spraw polskich i rozległych wpływów tak w emigracji jak i u dworów, nie miał Zamoyski swego stronnictwa i nie miał popularności. Podczas powstania w r. 1863 i 1864 nie był on wcale czynnym na placu walki. Za to tem czynniejszym był w dyplomatycznych zabiegach. Niektórzy przy-

pisują jemu zachowanie się Francji w obec Moskwy w czasie powstania i radziby noty zbiorowe trzech mocarstw do moskiewskiego gabinetu przedstawić jako wpływ jego działania.

Wierzymy temu chętnie, jakkolwiek nie mamy na to dowodów. Czynność tego rodzaju zgadzała się z usposobieniem i stanowiskiem Zamoyskiego. Nie jego wina, że była bezskuteczną — a jak sądzić o tej polityce żebrania interwencji? o tem zbyteczna tu mówić. Zamoyski miał w tej polityce bardzo wielu zwolenników.

Zawsze była chęć chwalebna.

W ostatnich czasach podniesiono w jednym z dzienników zachowanie się Zamoyskiego po zamachu Berezowskiego. Czyn ten przyjęty został z oburzeniem. Nie wchodząc w to, ile wtem podaniu może być prawdy, chociaż wątpimy, ażeby kto tak szczegółowo i jawnie mógł fałsze ogłaszać, powiemy że czyn taki mógł być tylko wynikłością polityki, której się Zamoyski całe życie trzymał: zjednywać dla sprawy polskiej względy u dworów, nie przebierając bardzo między środkami.

Cokolwiekbądź wytknąć można Zamoyskiemu: przyznają mu wszyscy, że był dzielnym żołnierzem i dobrym Polakiem, był on nawet zręcznym dyplomatą w dzisiejszem znaczeniu tego słowa, był mężem politycznym, chociaż wcale nie osobliwym politykiem. Z przekonania arystokrata, ale bardziej jeszcze monarchista niż arystokrata — owszem był on zawsze przeciwnikiem oligarchji jakiejkolwiek, czy arystokratycznej, czy demokratycznej. W prywatnem pożyciu uprzejmy i grzeczny nawet dla tych, których nie lubił i dla przeciwników, w pożyciu wojskowem koleżeński, w służbie sprężysty, miał zalety walecznego i dobrego dowódzcy, chociaż nie posiadał zbyt głębokiej nauki wojskowej — jednem słowem sprawa narodowa straciła na wszelki wypadek w Zamoyskim bardzo pożyteczną podporę.

K. Widman.

Chwila z życia akademików polskich w Petersburgu.

(Wyjątek z teki)

napisał

M. Dzikowski.

...Było to więc w Petersburgu. Tysiące latarni gazowych jaskrawym płomieniem oświecało ponure miasto. Ludzie snuli się po ulicach, ale między nimi nie było już widać tego gorączkowego pospiechu, z jakim w dzień biegali potrącając się wzajemnie. Od czasu do czasu rozlegał się dziki śpiew pijanego mużyka, lub ostrzegające krzyki zwoszczyków, których maleńkie sanki szybko przesuwały się po grubej powłoce zamarzniętego, jak lód śniegu. Zima panowała w całej swej potędze. W powietrzu było duszno i zdawało się, że słowa marznęły w ustach. Tumany pary unosiły się nad ziemią i zasłaniały jaskrawo promienie mirjadów gwiazd, nieśmiało spoglądających z wysokości, na lśkniącą się od mrozu ziemię. W tym czasie, Petersburg jest najpiękniejszy — jest prawdziwem miastem północy. A ludzie?... Ludzie zawsze jednakowi... Wiosna, lato, jesień i zima szybko następują po sobie i... w niczem ich nie zmieniają.

Na prawym brzegu Newy, naprzeciw zimowego pałacu, rozciąga się część miasta nazwana Bazylewską wyspą, siedlisko uniwersytetu, dumnie spoglądającego się na drugą, arystokratyczną stronę Newy... Cała ta część miasta podzielona jest na linje prostopadłe idące do Newy, których nazwiska oznaczone są numerami. Każde dwie linje składają ulicę i na całej przestrzeni wyspy przecięte są prostopadle trzema szerokiemi bulwarami, noszącemi nazwiska prospektów: wielkiego, średniego i małego.

Na jednej z tych linji, między wielkim i średnim prospektem, w wysokim trzypiątrowym domu, na pierwszem piątrze od ulicy, z kilku rogowych okien jaśniejsze padało światło, i od czasu do czasu przez roztworzone lufciki dochodził gwar męzkich głosów. Nie jeden z ciekawych przechodniów zatrzymał się przed oknami, popatrzył w górę i kiwnąwszy głową rzekł sam do siebie: „Polacy akademicy hulają“.

Rzeczywiście w dwóch obszernych pokojach znajdowało się dość liczne towarzystwo młodych Polaków, a z całej ich powierzchowności, z gwaru, z serdecznej rozmowy, nie trudno było odgadnąć, że to gromadka akademickiej młodzieży, obchodzi sobie, jakąś uroczystość...

Całe mieszkanie napełnione było gośćmi, a jakkolwiek niewykwintne meble zaledwie mogłyby kilka osób zaspokoić — nikomu jednak niczego nie brakowało. Każdy się mieścił jak mógł. Było nawet coś malowniczego w tej od niechcenia sformowanej grupie...

W pierwszym pokoju, na samym wstępie na prostym drewnianym stole, buchały parą dwa potężne samowary. Do jednego z nich stara jakaś baba, zapewne służąca, żelaznemi szczypcami rzucała węgle; przy drugim stał schylony młody człowiek w ciemnej czamarce, w białej na głowie konfederatce, z jasnemi włosami, z zarumienioną twarzą i trzymając w rękach herbatnik, pilnie rozlewał herbatę w szklanki w dwa rzędy na ogromnej tacy ustawione. Opodal na drugim mniejszym stoliku stała ogromnej wielkości biała waza; na niej złożone były na krzyż dwie akademickie szpady, na których potężny kawał cukru oblany arakiem, gorzał majestatycznie niebieskim płomieniem, zamieniając się w znany i tradycyjny poncz akademicki. Reszta pokoi zajęte były kilkoma krzesełkami, na których stały kosze napełnione butelkami czerwono, czarno, brunatno i biało zapieczętowanemi. W środku pokoju przechadzało się kilku młodych ludzi tam i napowrót, z cicha prowadząc rozmowę.

W drugim nierównie obszerniejszym pokoju, zakrawającym już na salę, na środku stał wielkich rozmiarów prostokątny stół, uginający się pod ciężarem zimnych mięsnych potraw, różnych przekąsek, ciast i kilku butelek wódki. Nie chodziło snać gospodarzowi o wykwintność serwisu, bo stół był prosty, bez żadnego nakrycia i tylko w pewnych nieregularnych odstępach leżały gromadki najprostszej konstrukcji nożów i widelców. Wszystko stało jeszcze nie tknięte. Biesiadnicy spokojnie pozajmowali miejsca, rozstawiwszy się po całym pokoju. Jedni siedzieli na sofie lub kanapie, oparłszy się wygodnie o ścianę; drudzy usadowili się na trzech łóżkach; inni na zaimprowizowanej na prędce kanapie z materaców; niektórzy pojedyńczo siedzieli na krzesełkach, a kilku rozłożywszy płaszcze na podłodze, na pół leżąc zajęci byli rozmową, zrywając sią czasem na równe nogi, jeżeli wymowniej trzeba było kogo przekonywać. — Gwar był ogromny — rozmowa grzmiała oddzielnemi kółkami — słów nawet trudno było uchwycić, tak szybko rozpływały się w ogólnym chaosie. — Wszyscy byli bardzo zajęci. Dym z tytoniu gęstemi kłębami unosił się po nad głowami biesiadników cisnąc się wązkiemi niebieskiemi smugami do otwartych lufcików.

Pomimo całego nieporządku i pewnego zaniedbania, całe jednak zgromadzenie dziwnie piękny przedstawiało widok...

— No, zawołał nieco głośniej powstając jeden z biesiadników, z czarną i gęstą brodą, któremu już trzydziestka szybko zbliżała się do końca — no, prawdę powiedziawszy, niekoniecznie tu jest wygodnie na tych waszych płaszczach. Ba — zaręczam, żadnego między nimi niema całego. Jak się dziura włoży na dziurę, zawsze będzie dziura — summa summarum, siedzimy na gołej podłodze...

— Starość, jak widzę, zaczyna się upominać u swoje prawa, odparł drugi młody blondyn, w pół leżąc na rogu właściwej kanapy.

— E, nie wyjeżdżajże tak ze swoją młodością, mówił powoli pierwszy — bo i tak już chodzisz, jak nie na swoich nogach, chociaż mama dobrodziejka co miesiąc przysyła ci stosy przeróżnych flaneli, kaftaników i innych rupieci...

— Panowie — odezwał się ktoś z kąta, a nie wartoby było wziąść cię do reprodukcji priorów — bo to i późno i czczo jakoś na żołądku a jak spojrzę na około — diabla czeka nas praca; chociaż nie powiem, nie podobna.

— Zaczekajmy na Perytusa, on nie długo przyjść powinien...

— Idzie, idzie Perytus, zawołał jeden spoglądając przez okno.

Po chwili drzwi się otworzyły i powoli wszedł mężczyzna średniego wzrostu w cylindrze, w płaszczu z akademickiemi guzikami.



Michał Archanioł, orędownik i patron Rusi.

Nowo przybyły miał lat już trzydzieści parę, szatyn, z krótkiemi i w górę podniesionemi włosami, cały zarośnięty. W całej fizjonomji panowało jakieś zaniedbanie. Oczy tylko czarne jaśniały mężkim ogniem, chociaż na całej twarzy rozlała się pewna zbolałość i cierpienie.

— Widzę, że nie przychodzę za późno, rzekł witając się Perytus i powoli zdejmował płaszcz.

— Owszem, czekaliśmy już tylko na ciebie odezwało się kilka głosów.

— A to przepraszam — opóźnienie moje postaram się wynagrodzić szczerem przystąpieniem do aktu weselnego. Nie będę wcale żałował fatygi i...

— I do ciebie, przerwał gospodarz podając mu kieliszek z wódką.

Kieliszek krążył z rąk do rąk, butelki z wódką znikały ze stołu. Przez pewien czas nastąpiła prawie grobowa cisza i tylko szczęk talerzy, nożów i widelców słychać było w całem mieszkaniu... Głód i apetyt odebrał na chwilę biesiadnikom mowę...

— Panowie! zabrał nareszcie głos Perytus. Oto jest wino i podniósł duży kielich — czy prawdziwe — nie wiem — to nie do mnie należy. Wnoszę pierwszy toast pożegnania. Jedni z was zostaną jeszcze tutaj, inni, do których i ja należę, za kilka dni wracają do kraju. Żegnając się z tym kielichem w ręku, chciałbym, abyśmy z kroplami wina nabrali siły do nowego życia — do nowych obowiązków... Czy ono będzie lepsze — wątpię... Powinniśmy być przygotowani na wszystko... Droga dla nas wytknięta — znamy ją wszyscy. Kto z niej zejdzie, temu wspomnienie chwili dzisiejszej, trucizną być powinno. Godłem naszem praca i sprawiedliwość. Z niemi idziemy do Polski... Po tych dwóch zasadach poznamy się zawsze, nawet wtedy, gdy siwy włos pobieli głowę i troski życia kark do ziemi schylą... Niech żyje Polska!..

Niech żyje Polska! zagrzmiały wszystkie piersi i duszkiem wychylono kieliszki...

Perytus ma głos, wołano zewsząd. Panowie cicho! — niech mówi, niech mówi, na około krzyczano...

Ale, bo znów nie wymagajcie odemnie, abym był waszym jeneralnym mowcą — rzekł Perytus po jakiem takiem uspokojeniu się. Wniosłem tylko pierwszy toast na pomyślność Polski, bo nie wiele będziemy mieli takich chwil, jak dzisiaj... Żegnamy się z sobą... może na zawsze, a jeżeli się spotkamy, kto wie gdzie i jak... Więc już, jeżeli pozwolicie, wnoszę drugi toast: obyśmy się nigdy nie zmienili! Te same prawdy, oby nam zawsze przyświecały w życiu!..

— Brawo! Obyśmy się nigdy nie zmienili, wołano zewsząd i znowu wypróżniono kieliszki...

Przepraszam, odezwał się ktoś z kąta, możemy się zmienić, ale na korzyść. Człowiek ciągle się kształci, ciągnął dalej nieznajomy, więc i my po pewnym przeciągu czasu, możemy np. nabrać więcej rozumu....

Słyszę głos, a osoby nie widzę — odezwał się porywczo jakiś młody blondyn, z nienaturalnym rumieńcem na twarzy. Co tam rozum — głodnemu chleb na myśli. Komu dziś brakuje rozumu z nas, to już go zapóźno szukać.

— O! za pozwoleniem odparł pierwszy, nie pokazując się zupełnie — nie sądzę, abyś kolega, tak był nasycony rozumem, bobyś się tak nie odezwał...

(C. d. n.)

Statua św. Michała Archanioła.

(Patrona i orędownika Rusi.)

Lwów stolica Rusi Czerwonej nie słynie wprawdzie w pośród grodów polskich taką liczbą cennych pomników historycznych jak Kraków, Wilno lub Warszawa— lecz przyczyna tego nie leży pono w tem, żeby Lwów takowych nie posiadał, ale w tem prędzej, że Lwów jak słusznie mówi autor, wspomnień o Lwowie w kilku urywkowych wzmiankach w części artystyczno-literackiej dziennika Czas — nie ma takiego zastępu antykwarzów — czyli archeologów jak Kraków — to też mało się kto troszczy powiada on dalej, o jego przeszłość czasem wypadek — odgrzebie jakiś pomnik, jakieś dzieło zardzewiałe lub sarkofog zakurzony — lecz te zabytki zapomniane, których całem objaśnieniem, czasem jakiś monogram lub ułamek herbu, nie stanowią całości jednej wielkiej dziejowej myśli, która się wryła w każdy kamień, w każde domowstwo jagiellońskiej stolicy.“ Z liczby takich pamiątek zardzewiałych wydobywamy statuę św Michała Archanioła patrona Rusi, która od czasów Władysława IV zdobiła fronton arsenału królewskiego, a dziś zalega podwórzec pokarmalicki oczekując wydobycia jej z pomiędzy rupieci gospodarczych magistratu tutejszego.

Statua ta jako jeden z pomników giserni lwowskiej, tak ze względu starożytnego pochodzenia swego, jak ze względu artystycznego wykonania, nosząc widoczne cechy szkoły flamandzkiej zasługuje ze wszech miar na uwagę i zainteresowanie się nią publiczności. — Pragnąc o ile możności zebrać dokładne daty historyczne, odnoszące się do jej twórcy i przeznaczenia — czyniliśmy poszukiwania — w archiwum magistratu lwowskiego, lecz tam żadnych śladów nie znalazłszy, zmuszeni byliśmy sięgnąć do prywatnych zbiorów — i w rzeczy samej udało nam się u p. Sznajdra znanego i prawie jedynego tu u nas badacza starożytności zaczerpnąć dokładniejszych danych.

Król Władysław IV po wojnie moskiewskiej udając się w r. 1634 do obozu pod Kamieniec odwiedził Lwów — i poleciwszy: odnowić fortyfikacje miasta — wybudować arsenał — i założyć ludwisarnię oddał kierunek tych robót Grodzickiemu, dłuższy czas kształcącemu się w Holandji — którego mianował jenerałem artylerji.

Podług więc planu jenerała Grodzickiego i pod jego kierunkiem, wykonaną została rzeczona statua św. Michała i umieszczona na arsenale królewskim.

Blizko przez półtrzecia wieku statua ta zdobiła fronton arsenału, a w przeciągu tego czasu po dwakroć strącona przez burze została w r. 1795 naprawiona i ustawiona w tem samem miejscu — drugi raz w r. 1820 wskutek podobnego wypadku ponownie nadwerężona przetrwała aż do ostatnich lat na dawnem miejscu. — Za staraniem hr. Mieczysława Potockiego konserwatora pomników zdjęto ją nareszcie w celu odrestaurowania i pomieszczenia w odpowiedniejszym i widoczniejszym punkcie miasta t. j. albo na wałach hetmańskich, albo co za najwłaściwsze poczytujemy na ratuszu lwowskim. Projekt ostatni poruszony w radzie miejskiej, od roku czeka załatwienia a tymczasem pomnik ten zalega jakeśmy nadmienili pomiędzy rupieciami. — Aby dać choć przybliżone wyobrażenie publiczności o wartości tego arcydzieła — powrócimy jeszcze raz do opisu pana L. D. i przytoczymy sąd jego o tej statuy, który najzupełniej podzielamy.

„Jeden taki pomnik giserni lwowskiej powiada on, zachował się w całości z małemi uszkodzeniami; jest to Śty Michał patron Rusi, orędownik kraju, co wiecznie z smokiem pohańców stał w boju, to najeżdżany i niszczony przezeń, to znów depcząc go kopytami swych rumaków. Pomnik znakomitej artystycznej wartości rycerskiego Archanioła, który nam tak szczytnie wyobraża cały wieczysty bój zastępów niebiańskich z czarnemi mieszkańcami podziemia, stał we Lwowie na bramie arsenału; i trzeba było zaiste takiego godła, takiego patrona, aby oznaczyć zadanie tego grodowego arsenału, gdzie składano działa i spiże wojenne. Artysta wlał w ten metal przedewszystkiem wojenny, całe natchnienie geniuszu, anielskość przy sile pogromczej; gniew boży że świętą miłością tak tutaj dziwnie splecione, że choćby zdawało się, iż to kontrasty, że z ziemskiego stanowiska patrząc nie można ich pogodzić, to tutaj przeciwnie, źródło drugiej wypływa z pierwszego; — rozumiesz, że jego siła pogromcza i zwycięstwo leży właśnie nie w tej zbroi, którą okuty, nie w tym oszczepie, który dzierży, ale w anielskośći tego oblicza, ale w podniosłości tej postaci, co zbiegła z nieba i znów do nieba się wyrywa; i wszystko co kiedykolwiek w tobie podmuchem szatana się wznieciło, i o zwycięstwie zła chciało przekonać, zadrży w duszy z tym syczącym i pełzającym gadem, i wszystko co za aniołem wyrywało się w niebo skrzydłami ducha znów w tryumf uderzy, bo to tryumfator niebiański co kruszy moc szatana. Postać ta jest najwymowniejszem wypływem sztuki chrześciańskiej, daleką od wzorów plastycznych Rzymu i Grecji zdolnych przedstawić bohaterów, nawet bożków, ale nie aniołów — Herkulesa ale nie Michała Archanioła! Nigdzie naprężenia ciała, nigdzie muszkułów wytężenia, coby nam fizyczną siłę tłumaczyły, cały ujęty w zbroję łuszczkową, cały spiżowy, jak Bóg Chrześciański nadaje spiżowy hart swym rycerzom; jedno tylko odsłonione oblicze świadczy o duchu, który tam zamieszkał, jedne srebrzyste skrzydła uwidoczniają zkąd przybył i gdzie dąży. Zaledwie lekki powiew szarfy oznacza cały pęd ciała wielkiego pogromcy. — A smok powalony to cała symbolika co złączyła najrozmaitsze podania o mocarzu zła. Dziwnie śliska postać olbrzymiego gadu odrazę wznieca, a z oczów i pyska nie zwierzęcy wyraz się dostaje ale jakby wyraz złego człowieka. Pomnik ten nieznanego dłuta a nawet epoki, (powyższe dane wyjaśniają, p r.) długo zapomniany i nieoceniony, jest niezaprzeczenie odlewem giserni lwowskiej. Kiedy dzisiaj brak arsenału lub takowy w inne mógłby popaść ręce, — pomnik ten ma być wyrestaurowany umieszczony po nad bramą ratuszową.“

Czyż podobna pamiątka nie warta serdecznego i raźniejszego zajęcia się nią ojców miasta — a gdyby i na to liczyć bardzo nie można — to czyż już zupełnie wygasła w nas miłość dla ojczystych zabytkżw, żebyśmy wśród siebie nie znaleźli żadnej ręki, któraby ją wydobyła z niepamięci i otarła z kurzu zaniedbania? — Nie sądzimy aby tak źle było ale tuszymy, że głos nasz nie będzie głosem wołająna puszczy.

C. G.

TOAST WYGNAŃCÓW

W rocznicę powstania styczniowego.

Wiersz czytany na bankiecie Emigracji Polskiej,
zamieszkałej w Belgji,
dnia 22. stycznia 1868, w Brukseli.

Jakiż toast wychylić w imie Polski zabitej?...
Popiół grobów ojczystych wsypać w urnę krwią ciepłą —
I z tą urną dymiącą iść na białe gór szczyty —
I z wysoka ją rozbić o pierś świata zakrzepłą!

Z dawnych marzeń płomiennych wielki ogień tam skrzesić,
Żeby zemstą zajaśniał wpośród zbrodni wszechmocy —
Sztandar Polski rozdarty nad tym ogniem rozwiesić —
Potem w dłonie skrwawione porwać bardon sierocy.

I zawołać na Ludy strasznym głosem rozpaczy:
Nie widzicie, że z nami i was cary pochłoną!
Od dnia naszej ofiary świat wasz łupem siepaczy —
Na ołtarzu z Nadwiśla wasze trupy dziś płoną!...

Potem zaśmiać się głośno — by się nieba zbudziły!
O, wy znacie! Rodacy, ten śmiech bolu i cześci!
Kto na śmiech ten grobowy w piersi dosyć miał siły,
Ten skamieniał na wieki — jako posąg boleści!

Nas już rozpacz nie złamie, ani ogień nie spali —
Bo my matkę widzimy, jak ją wrogi bezczeszczą —
Bośmy ze krwi i z bolu i z dziejowej my stali —
A pierś nasza tak wielka, że się wieki w niej mieszczą.

A więc, bracia-wygnańcy! Stójmy czyści na straży!
Czy za krajem czy w kraju i o głodzie, o chłodzie!
Naprzód, prosto i wiernie — jako zastęp husarzy —
Walczmy, żyjmy z Narodem, dla Narodu, w Narodzie! —

Taki toast mój, Bracia, w tę rocznicę Powstania!...
O wolałbym zapłakać, bo me serce w żałobie —
O wolałbym wam śpiewać hymn samotny wygnania —
I wraz z wami uklęknąć na Ojczyzny mej grobie!

I wolałbym paść kornie na te smutne cmentarze,
I podsłuchać zza grobu Pacierz jednej nam Matki!
I na strunie ożywić bohaterskie te twarze,
Co zginęły — lub giną wpośród śniegów Kamczatki!

Lecz łzy nasze są dla nas! Dla Ojczyzny krew nasza,
Bo nie łzami się Naród do Wolności wyniańczy!
Nasza pierś dla nadziei — nasza dłoń do pałasza...
A więc naprzód i z wiarą! — To mój Toast Wygnańczy!

Bruksela, 22. Stycznia 1868.

H. M.

Pogadanki tygodniowe.

Bawią się w stolicy, bawią się w miastach i po wsiach, wesoło, ochoczo, swobodnie jak przed laty dwudziestu; bal za balem, jeden dla kalek drugi dla ochronki małych dzieci, trzeci i czwarty na korzyść tego lub owego stowarzyszenia wzajemnej — ponoś pomocy. A w hucznych tych zabawach udział biorą wszystkie warstwy: arystokracja zapełnia dobrze urodzonymi swoje podwoje zwiedzając czasami tylko igrzyska reszty śmiertelników; nieurodzeni skupiają się na balach publicznych, redutach i tym podobnych zabawach, a rustici wyprawiają od dawna już zapomniane i teraz dopiero wznowione kuligi. Nie ma zatem obecnie innego i pożądańszego tematu jak opisywanie wyprawianych balów i balików, przeplatane tu i ówdzie awanturką, która się wydarzyła, skandalikiem który miał miejce, śmiesznym wypadkiem, który pobudził do wesołości i ożywił towarzystwo. Na nieszczczęście jednak nie wydarzyła się dotychczas żadna balowa awanturka do których przestaliśmy już być pochopni zwłaszcza od czasu gdy ustanowiono c. k. policję i c. k. sąd sekcji III. w których obrażeni czynnie lub słownie szukają zadośćuczynienia; kierunek ten można zatem na śmiało zaliczyć do objawów lojalności i na podstawie tego domagać się rozszerzenia samorządu krajowego. Skandalików za to było więcej: z jednego balu wyproszono damę, która nie w zupełnie legalnej drodze wcisnęła się do proszonego towarzystwa; zemdlała biedaczka na schodach i pomyślała sobie, że bądź co bądź Francuzi byli by tego nie uczynili. W innem znów miejscu gospodarze przyswoili sobie prawa policji i wykonali takową wbrew przyjętym powszechnie regułom przyzwoitości — lecz nie dziw, zwłaszcza iż jak nas zapewniano należą ci panowie do tak zwanych biurokratów, którzy na balu chcieli zapewne spisywać protokoły i to po niemiecku. Lecz pomińmy strony ujemne a przyjdźmy do dodatnich: Bale publiczne bowiem wydały znakomite owoce, nie tylko dla kupców, krawców i modystek lecz oraz dla ogółu. Przekonał się bowiem pewien książe naocznie i wyraził jaśnieoświeconemi usty, że na balu ponoś „Sokoła", bywa dość przyzwoite towarzystwo w którem i J. O. on, bez splamienia antenatów i osoby własnej bywać może; lecz oraz uroił sobie pewien nauczyciel hrabiego, syn biednych rodziców że na tym samym balu były tylko trzy domy z któremi on mógł się bawić t. j. dom hrabiego — jego chlebodawcy, księcia sąsiada i trzeci marszałka powiatowego. — Kołem się zatem toczy ten świat i w skutek tego dostają ludzie kołowacizny w medycznym języku zwanej *„civilisatio europaeica"* a jeźli nią się kto zarazi to wściekle rzucać się będzie o tytuł „świeżutkiego hrabi" jak to uczynił p. B. zżymając się na ludzi, którzy ośmielają się wiedzieć z jakiej daty dyplom jego hrabiowski. — Drugim objawem tej choroby zaraźliwej, która najbardziej grasuje w pewnem kasynie jest manja kupienia wszystkiego bez wyjątku za pieniądze. Opowiadano nam o takim chorym który chciał koniecznie kupić sobie kilka artykułów dziennikarskich, co mu się jednak nie powiodło chociaż zaciągał wszędzie języka „ile kosztuje artykuł?" — Jedną głowę kapuścianną mój panie — a w inseratach centów cztery od wiersza.

* * *

W poniedziałek mieliśmy piąty z kolei bal maskowy, inaczej redutą zwany. — Na balu tym nie spotykaliśmy się wprawdzie z inspirowanemi dowcipami — podszeptywanemi przez pogromcę zecerów i autora kilkunastu dzików — lecz za to widzieliśmy tam i lwowskiego podupadłego bajazo z towarzyszami, i jego satelitki z różnych zaułków nadpełtewskich, pląsające w gwarnym tumulcie ochocze polki — mazurki i walczyki, lub sunące poważnym krokiem znamionującym damy lwowskiego półświata, albo intrygujące anielskim szczebiotem, przy więcej jeszcze niebiańskich uściskach rąk zabłąkanych żonkosiów lub podtatusiałych kawalerów, którym brakujący jeszcze jeden roczek do czterech lub pięciu krzyżyków pozwala napawać się widokiem śnieżnej białości rączek, albo podziwiać wykończone kształty obuwia p. Fr. Górskiego — no, bardzo naturalnie, że nie na wystawie sklepowej prezentujące się na pospolitem kopycie — ale na czemś ponętniejszem, na damskich nóżkach. — Co to za obrzydliwa rzecz być starym kawalerem prawda przyjacielu? zagadnęła mię jedna maska w kostjumie męzkim, pod którym najjawniej w świecie zarysowywały się kształty niewieście; mimo całej gestykulacji i zakładania rąk za kamizelkę, dla dodania sobie niby większego rezonu a w rzeczy dla zamaskowania nie dających się niczem maskować... na przykład... o jak by się tu wybrnąć!.. oto tak: dla niedających się niczem maskować podwatowań pod kamizelką. — Prawda kochany przyjacielu! to jest strasznie obrzydliwa rzecz być starym kawalerem zwłaszcza jeżeli się ma tak młodego przyjaciela, jakim się ty mi być wydajesz odparłem i zaledwiem się tej wywinął nadbiega druga i pyta mnie szyderczo, gdziem żonę podział? W twoich oczach ją utopiłem, odpowiadam rozirytowany i biegnę dalej. — Ostrożnie z głową żebyś, fryzury nie pomiął zakonkluduwała trzecia, wśród ścisku prawdopodobnie sama zrzuciwszy mi kapelusz, a wraz z nim moją blond perukę! A to istne skaranie pana Boga te lwowskie reduty, płaczliwie wyrzekając — tłoczyłem do kieszeni moje blond kędziory i po nie długiej chwili uczyniłem stanowczy odwrót do bufetu.

Miła atmosfera zgęszczonego powietrza odurzyła mnie tu do reszty puszczając i połykając kłęby dymu lubom nie palił ani fajki ani cygara spocząłem na krześle na poły w uspieniu. — Dym tytoniowy napełniał tak dalece cały pokój, że kto doń wszedł nim tylko oddychał. — Snać wielki mróz na dworze kiedy lufciki zamarzły pomyślałem sobie i kazałem podać wina. — W pół godziny usłużny kelner pospieszył z butelką w samą porę — kiedy już z piersi mojej poczęły się wydobywać głośniejsze chrapnięcia pierwszego smacznego snu. — Wino proszę pana! obudziło mnie z letargu a ująwszy za kieliszek jak prędkom go poniósł do usta tak prędzej jeszcze postawiłem na stole tak nie uważnie, że się rozprysł na ziemi. — Był to ocet winny w najlepszym gatunku! Hej co ty kpisz czy o drogę pytasz co to za wino? Najlepsze proszę pana jakie mamy. A jakie macie najgorsze? Po 90 cent. A to? 1 zł. 50 c. — Truciciele! pomruknąłem pod nosem i wyrzuciwszy 1 zł. 50 c. i za kieliszek stłuczany kilkanaście, oparłem się aż w domu — gdzie marząc o owym przyjacielu z podwatowaną kamizelką, z kwaśnym smakiem na języku zasnąłem nad ranem, ażeby nabrać sił dla opowiedzenia wam swoich przygód redutowych.

C. G.

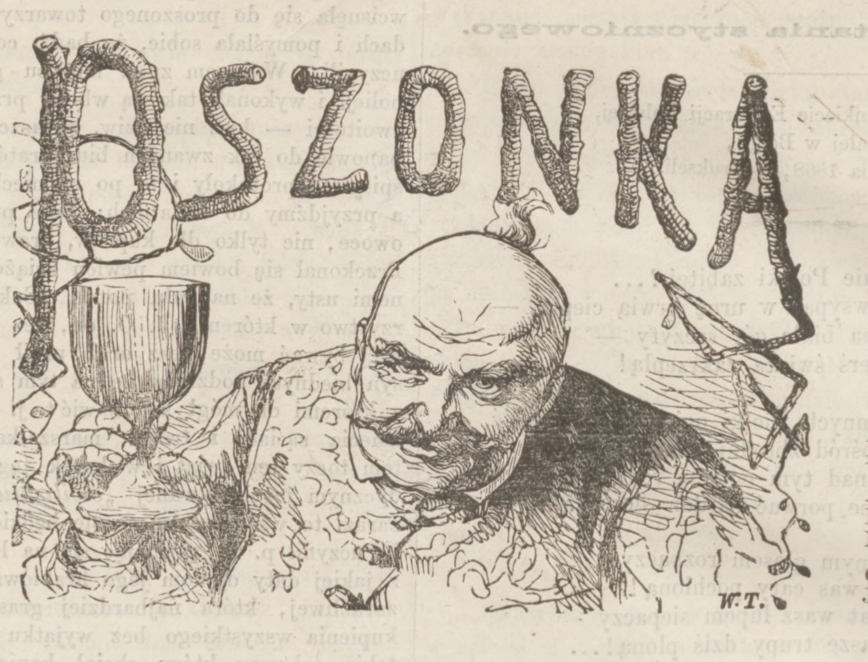
III.

Rada protekcyjna w Pacanowie.

W związku z Radą familijną
Mamy Radę protekcyjną —
Z znakomitych mężów grona?!
Nader misternie złożona;
Tam już ni brata ni swata,
(Tam li jedynie) czysta prywata!
Swej Ojczyzny protektory?
Oto główne matadory: —

Protektorze
Praw doktorze,
Już na bziki
W dostojniki
Ty się bawisz —
A sam jawisz
Dla ludzkości,
Żeś zwiastunem
Wszech wolności?!
Przed Trybunem
Cała Rada
Plackiem pada! !!

Niechaj sławi
Że się bawi,
W wielkie fumy,
Jak by trzymał,
Z księciem w kumy; —
Sam się zżymał



Chciał być głową
Motorową?!
Ale za się
Mecenasie; —
Z łaski padła gałka
Na Wice-Marszałka! —
Wielka głowa
Narodowa!!.....
Tyle mniema,
Że: „Jak się ma?“
Na witanie
Pozostanie. —

Jeszcze *abbé*
Serce słabe
Lubi prawić
Kobiet bawić; —
Raz karany
Dzisiaj czwany;
Tak zajęty
Gdyby święty?!
Swojem torem
Protektorem;
Wszystko łaje,
A sam baje
Dub smalone
Nieskończone......

Gdy tacy w Radzie protektorowie;
Jak żeś szczęśliwy o Pacanowie?!! —

. . . . . *z Rzeszowa.*

Otrzymałem następujące pismo:

Mój Mości Pszonko!

Nie wiem ja czy pochodzisz rzeczywiście z tych dawnych Pszonków, co to o nich świadczy pewien dawny manuskrypt w Bibljotece Ossolińskich, którego liczbę w tej chwili przepomniałem, ale z którego nie omieszkam Ci kiedyś udzielić excerptów, jeżeli się będziesz znał na rzeczach. Jednakże nawet jeżeliś uzurpował nazwę Pszonków, to Ci w imieniu całego ich rodu wybaczam, bo oddajesz przez to samo cześć dziedzicznemu ich humorowi.

Nieprzypuszczam wszakże, ażebyś był owym właściwym Pszonką, bo musiałbyś żyć, jak śp. Ksiądz Biskup Warmiński życzył jednemu ze swoich przyjaciół:

Choć nie lata Matuzalowe
Ani nawet ich połowę
Ale ćwierć choć dla igraszki;
Dwieście lat — i to nie fraszki.

A gdybyś dziedziczył w samej rzeczy dowcip śp. p. Mikołaja (ni fallor) Pszonki byłbyś — sit venia verbo — żydem wiecznym polskiego humoru. Bo przez lat dwieście żyć już dosyć, a niedopieroż być w dobrym humorze — to rzeczywiście nie fraszki Mosanie. Pomnij że od dwóchset lat tyle rzeczy zaszło w Polsce, które krwi dużo napsuły. Jeżeliś tedy zachował twój humor, to istotnie godnyś stanąć obok Ahaswerusa, co zaśmiawszy się przed 1836 laty nad męczeństwem Zbawiciela, dotąd włóczy się po swiecie, aby wyśmiewać wszelkie męczeństwa.



Pieniędzy nie dostaniesz, ale będziesz miał teraz dobrą ewikcję, czy wiesz, że się żenię?

Ny! a na co mi tego wiedzieć? — co mi po pańskiego Wikci, ja mam swojego Ruchlę to ja Wikciów nie potrzebuję ale mojego, pieniądzów. —

Otóż — kiedy się śmiejesz to się smiej dobrze.

A masz tu tyle materji.

Lecz teraz kolej na ciebie, ja będę się śmiał z Ciebie.

Luby Pszonko! czy Ty myślisz że jesteś w Polsce? Śmiać się muszę z Ciebie. Gdzie zbierasz Twoje wzory? W „knajpie“ (czy to polska nazwa) w „salonie“ (czy to polska nazwa), na ulicach, których napisy są niemieckie (a jeżeli znajdziesz gdzie napisaną dobrze i wyraźnie po polsku, albo niezasmarowaną niemieckim szwarcem, to daj mi znać), albo może po sklepach co mają (wyjąwszy kilka) dwujęzyczne nazwy?

Jeżeli myślisz luby Pszonko, obejrzawszy się po Lwowie, że jesteś w Polsce, to policz tych co się po polsku noszą, bo chodzących po niemiecku pewnie niezliczysz „nomen eorum est legio.“

Jeżelibyś jeszcze się łudził, że jesteś w Polsce to radzę ci idź na „Kränzchen“ towarzystwa „Harmonii.“ Tam ujrzysz ojców miasta i synów miasta we frakach. A cóż to jest frak? Daruj, że się tak pyta przyjaciel starego Pszonki. Jest to kurta z ogonem. Tam usłyszysz ojców miasta i synów miasta szwargoczących językiem, którego wielki mistrz czmychnął dziurką od klucza przed panią Twardowską.

Tam usłyszysz że czamarka jest obrazą honoru. Jeżeli myślisz że jesteś w Polsce to

Bywaj zdrów mój Pszonko.

Przestroga!

W celu stanowczego zapobieżenia różnorodnym mrzonkom i złudzeniom, następnie uniknienia dotkliwych a niepotrzebnych wydatków wzywa się wszystkich, będących w chęci ubiegania się o posady sekretarzów, pisarzów, podpisarzów i t. d. Przy Radach familijnych i protekcyjnych ustalonych — by tego zamiaru raz na zawsze zaniechali! — bowiem posady te przeznaczone już i rozdane są pomiędzy takie osobistości, które drogą familijną i protekcyjną ad hoc powołane zostały; — konkursa zaś jedynie dla czczej formy i pokrycia dotyczących frymarek rozpisywane i ogłoszone bywają.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedziany: Dr. H. Jasieński. Z drukarni E. Winiarza.